

Fredro. Czas konsumpcji

AUTOR: ARTUR DUDA

Kiedy zobaczyłem wpadającego przez okno pijanego Gustawa z dwoma charakterystycznymi kebabami w folii aluminiowej, zadrżało mi serce. Uwspółcześnianie nie za dobrze służy teatralności komedii autora *Zemsty*. Dla mnie postaci jego dramatów przybywają z innego świata niż nasz i – może zabrzmieć to konserwatywnie – powinni w tym świecie pozostać.

■ Polskiej klasyki w teatrach toruńskich ostatnio jak na lekarstwo. W kończącym się roku pojawiły się do tej pory tylko *Śluby pańskie* Aleksandra Fredry. Najnowsza premiera Kujawsko-Pomorskiego Teatru Muzycznego została zagrana pod koniec października. Smutne to trochę, jedna premiera klasyki w uniwersyteckim mieście, którego Alma Mater szczyci się polonistyką od początku swojego istnienia, czyli od roku 1945. Wychodząc wieczorem z zabytkowego Pałacu Dąbskich, gdzie na ostatnim piętrze mieści się jak dotąd jedyna scena instytucji, którą zawiaduje Anna Wołek, przypomniałem sobie epizod z gabinetu dyrektorskiego na innym krańcu Starego Miasta. Nie pomnę, z jakiej okazji gościliśmy u Jadwigi Oleradzkiej w Teatrze Horzycy, w pamięci zapadły mi natomiast karteczki na okrągłym stole z odnotowanymi skrupulatnie danymi o frekwencji na przedstawieniach. Na jednej z takich karteczek pani dyrektor miała zapisaną ponadstuprocentową sprzedaż biletów na *Nowego Don Kichota*, swoistą kompilację jednoaktówek hrabiego Aleksandra Fredry, i to na dużej scenie. Pamiętam dobrze to głębokie westchnienie dyrektor Oleradzkiej wyrażające dystans do teatralnej farsy, która wywoływała salwy śmiechu i przyciągała tłumy. Pani dyrektor wołałaby, wiadomo, przyciągać

tłumy na inscenizacje dramatów Williama Szekspira albo Adama Mickiewicza.

Moją reakcją na *Nowego Don Kichota* – na premierze i potem w dyrektorskim gabinecie – był serdeczny śmiech. Pal licha farsę, szarżę Grzegorza Wiśniewskiego wśród widzów, erotyczną dwuznaczność „świeczki zgasłej”. Fredro nieśmieszny to oksymoron, Fredro klasyczny i tylko dla znawców – tym większa sprzeczność, która powinna budzić nasze święte oburzenie. Paweł Aigner, reżyser toruńskich *Ślubów pańskich*, z pewnością wziął sobie do serca i to, że tekst Fredry ma w sobie ogromny potencjał komiczny, i to, że w swoistej grze z klasyką zawsze należy szukać jakiegoś teatralnego pomysłu na inscenizację. Kiedy w scenografii Wojciecha Stefaniaka, przedstawiającej kuchnię na poły szlacheckiego dworu, na poły zupełnie współczesnego domu, zobaczyłem wpadającego przez okno kompletnie pijanego Gustawa z dwoma charakterystycznymi kebabami w folii aluminiowej, nie ukrywam, że zadrżało mi serce. Uwspółcześnianie nie za dobrze służy teatralności komedii autora *Zemsty*. Dla mnie postaci jego dramatów przybywają z innego świata niż nasz i – może zabrzmieć to konserwatywnie – powinni w tym świecie pozostać.

Na szczęście reżyser toruńskich *Ślubów* powstrzymał się przed dalej idącymi zabiegami

modernizacyjnymi, nałożył jednak na cały świat przedstawiony komedii coś w rodzaju metafory kulinarnej. Jan (grany przez Karola Soboczyńskiego) w fartuchu i kucharskiej czapce przygotowuje kawę, pichci jajecznicę, kroi warzywka na leczo, podaje ciasto i wciąż dziwi się tym intryżkom pomiędzy mężczyznami i kobietami z komedii Aleksandra Fredry, które wszyscy dobrze znamy. Metafora kulinarna nadaje całemu spektaklowi rytm, a ponadto wnosi pewne dodatkowe znaczenia. Na serio można przyjąć, że znaleźliśmy się oto jako widzowie w kuchni sztuki kochania (po polsku, bo przecież to nie zagraniczna *ars amandi*). Jak to w kuchni, mamy dostęp do kulis całego procesu miłosnych przygotowań (gotowania się) młodych bohaterów i bohaterek. W kuchni nie zdziwią żadnego z widzów lzy lejące się z oczu Albina do sporych rozmiarów miski. Wciągając zapachy w nozdrza, śmiejemy się gremialnie i szczerze z tego, jak nieporadni i zabawni są zawsze ludzie młodzi w intymnym procesie zakochiwania się.

Przy czym prym wiodą w tym patriarchalnym, staromodnym świecie mężczyźni. Gustaw Jakuba Firewicza ma w sobie odpowiednią dawkę męskiej brawury i chłopięcej niefrasobliwości, oczywiście po tym, jak już do reszty wytrzeźwieje. Firewicz gra nadekspresyjnie, szerokim gestem i nieraz całym ciałem. Mi-



Śluby panięskie, reż. Paweł Aigner, Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny w Toruniu (2023)

micznie i gestycznie wyraża wszystkie swoje emocje, puszczając nieraz oko do widowni. W tym przerysowaniu budzi – to jest siłą jego kreacji – sympatię widzów. Męskie ego Gustawa nigdy nie cierpi, nawet w momentach samośmieszenia i chwilowej porażki. Gustaw musi zwyciężyć, nawet jeśli zostanie pokonany własną bronią. Stylowo prezentuje się partnerujący Firewiczowi Błażej Wójcik w roli Radosta. Radost to przecież postać z żołnierskiego świata Fredry, stary, ale jary, pełen wybaczenia dla wyskoków młodego szlachcica, dobrze pamiętający hulanki w swoich młodych latach i... niestroniący od małego skręta (da się wybaczyć twórcom spektaklu także i to współczesnienie). Na ich tle Albin Jeremiasza Gzyła wypada blado, nawet bardzo blado, podobne jak Pani Dobrójska Justyny Kacprzyckiej, która ma przecież u Fredry sporo podmiotowości i sprawczości. W spektaklu Aignera Dobrójska dość biernie poddaje się biegowi zdarzeń, statystuje na scenie niczym bystander, nigdy właściwie nie korzystając z prawa do stanowczej, matczynej interwencji.

Na koniec zostawiłem arcyfredrowską parę młodych bohaterów, które można sobie wyobrazić zupełnie serio jako forpocztę kobiecych aspiracji w naszych czasach. Muszę przyznać, że Katarzyna Zając gra swoją Anielę „po warunkach” – jako prostolinijną, dającą się ponieść emocjom dziewczynę o pełnych kształtach,

która w czysto farsowych epizodach poprawia sobie kostium i rusza „po miłość”, albo z pąsem na twarzy przyjmuje nagłą szarżę Gustawa lądującego na jej łonie. Dużo w tej postaci Anieli szerokich, nadekspresyjnych gestów, ale w tym wszystkim sporo także czystego komizmu. Szlachcianka Aniela jest w toruńskim spektaklu postacią charakterystyczną, głupiutką gęsią do obśmiania, ale i do finałowego przytulenia. Para Gustaw – Aniela wydaje się świetnie dobrana, stanowią naturalne dopełnienie dla siebie nawzajem. W fazie zakochania trudno wymagać od nich większej dozy rozumu.

Trochę gorzej z Klarą Kamili Najduk i wspomnianym wcześniej Albinem Jeremiasza Gzyła. Znów: w tekście Fredry Albin jest sentymentalnym płaczką, ale musi w finale okazać się mężczyzną. W toruńskim spektaklu grany jest nazbyt długo w wariacie płaczliwym, który nie pozwala uwierzyć, że Klara może się w ogóle w nim zakochać. Ta z kolei u Fredry ma sporą dawkę inteligencji i niezwykle cięty język. Jeśli chodzi o tę drugą cechę, Kamili Najduk idzie na scenie całkiem nieźle, na przykład podczas komicznej stychomytii z Radostem. Frazy Fredrowskie skrzą się dowcipem, stanowią pierwsze i prawdziwe źródło śmiechu widowni, którego nie przysyłają kuchenna krzątająca, farsowe bieżaniny tam i z powrotem oraz popisowe skoki przez okno. Zdarzają

się jednak sceny, w których Klara grana jest przez Najduk na jednej krzykliwej nucie, co spłaszcza psychologiczne rysy tej postaci. Wydaje się nazbyt retoryczna w swoim głośnym perorowaniu i – jak na mój gust – za mało sprytna w założonej walce na śmierć i życie z mężczyznami. Tymczasem Klara jako młoda, dążąca do niezależności kobieta już u Fredry, w tym zamierzchłym XIX wieku, ma dużo racji. Powinna móc wypowiedzieć te racje wobec mężczyzn na serio nawet w środku czysto teatralnej farsy, zamiast dość szybko się poddać w obliczu nadchodzącej rzekomo niewoli małżeńskiej.

Śluby panięskie w inscenizacji Pawła Aignera mają dobre tempo, co jest w jakiejś mierze zasługą wspomnianej wyżej partytury kulinarnych czynności codziennych, a w części – piosenek z tekstami Michała Jarmoszuksa i muzyką Piotra Klimka. Do gustu najbardziej przypadł mi popisowy song męskiego kwartetu w stylu międzywojennych „trubadurów”. Natomiast skoro jesteśmy w teatrze muzycznym, wypadałoby, aby wykonawcy śpiewali odrobinę lepiej, nawet jeśli z profesji są aktorami dramatycznymi. W tym samym czasie w toruńskim Teatrze Muzycznym aplauz widowni wzbudza *Piękna Lucynda* Mariana Hemara w reżyserii Tomasza Czarneckiego. Zagrana i przede wszystkim zaśpiewana koncertowo. W obu spektaklach na scenie pojawiają się zespoły rekrutowane właśnie do tych przedstawień, bo przecież Teatr Muzyczny Anny Wołek nie ma stałego zespołu. Jeśli weźmie się pod uwagę ten fakt, że ekipa, z którą pracował Paweł Aigner, nie gra ze sobą na co dzień, jeszcze mocniej trzeba pochwalić efekt końcowy. Widz ma wrażenie obserwowania dobrze naoliwionej teatralnej maszyny, iluzję obcowania ze światem, który pędzi przed siebie, nie zatrzymując się ani na chwilę. Nawet finał, który sugeruje konieczność wyhamowania farsowego pędu, został rozegrany w *Ślubach panięskich* Pawła Aignera w szalonym tempie. Same tu gorące głowy, potężne energie życiowe w ruchu, witalność. Nie magnetyzm to i nie fluidy płynące z ciała do ciała, lecz „źródło życia”, czyli potężne pragnienie (u)życia sobie. Nadchodzi czas konsumpcji i wyzwającego śmiechu. ■

Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny w Toruniu

Śluby panięskie Aleksandra Fredry
reżyseria Paweł Aigner
premiera 27 października 2023